

Po

## egzaminach



**M**inął czerwiec. Po maju miesiąc najbardziej czarowny. Dzień trwa najdłużej, w lasach i parkach ciągle jeszcze śpiewają krzątając się wokół gniazd ptaki, na łąkach i w przydrożnych rowach krzyczą barwną soczystością trawy i mleczko, pułap nieba nawet jeśli nie rozstłoneczniony to cudownie strzelisty, z lubianek syją się wesołe truskawki, powietrze pachnie ozonem, okna mieszkań szeroko otwarte niosą zapowiedź wakacyjnej wolności, przekwitłe kasztany szumią triumfalną piosenką o końcu szkolnej udręki i początku letniej szczęśliwości na morskich plażach i górskich wycieczkach.

Moje czerwece, od dobrych kilku lat, upływają w zimnej, egzaminacyjnej sali Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej na Miodowej. Siedzę za stołem w towarzystwie moich zacnych kolegów, zdyscyplinowana, pełna dobrej woli dla popisującej się, zdenerwowanej młodzieży. Siedzę godna i skupiona. Stateczna i akurata. Nikt nie wie, że poważna pani profesor pozwala sobie na ciche niesubordynacje i co i raz ucieka w marzenia sprzed lat, gdy zatrząskiwiała szufladę pełną zeszytów i podręczników z przekonaniem, że cały świat stoi otworem, jechała ku od miesięcy wyteścionej swobodzie. Magiczny przełom czerwca i lipca. Początek wakacji. Nigdy potem, w dorosłym życiu, nie przeżywanym tak zachłannie, tak żarliwie i tak bezrozumnie.

To te młode dziewczyny i chłopcy stojąc na estradzie sali egzaminacyjnej drażnią zamazane wspomnienia. Przecież dopiero co stałam jak oni, po TAMTEJ stronie stołu i recytowałam z przejęciem swojego Słowackiego. Życie moje wydaje mi się tak krótkie i takie ciągle nie do końca spełnione, że znalezienie się po TEJ stronie stołu robi wrażenie nierealne. Nierealne. A może nawet nie zasłużone?

W dniu mojego egzaminu była piękna pogoda. Szłam na ulicę Szpitalną krakowskimi Plantami zemocjonowana, ale bez zwykłej sobie tremy. W razie czego, miałam w odwodzie Akademię Sztuk Pięknych. Maszerowałam śmiało i bez lęku. Ubrana w jedną z dwóch, uszytych mi z okazji matury sukienek, czułam się elegancka i sexy. Energicznie stukalam drewnianymi podeszwami sandałów, własnej roboty. Klip, klap. Klip, klap. Zdam, nie zdam. Zdam, nie zdam. Na próg Szkoły Aktorskiej stąpnęłam prawą nogą. A więc zdam!

W korytarzach i innych pomieszczeniach było mnóstwo młodych ludzi. I tych, co zdawali, i tych zadomowionych już, ciekawych nowego narybku. Wszyscy palili papierosy, informowali się nawzajem, „co, kto, jak, komu”. Wszyscy denerwowali się i w tej wspólnej niedoli „przesłuchiwanym” byli dla siebie uprzejmi i mili. Udzielała mi się egzaminacyjna ekscytacja i mimo uprzedniego dobrego samopoczucia poczułam tremę. Palilam papierosy i trzęsłam się jak inni.

Każdy, kto już przeszedł mękę spotkania z ciałem egzaminacyjnym, wychodził błady lub nadmiernie poczerwieniały i pierwsze słowo jakie wymawiał, były:

– Dajcie papierosa!

Kilkadziesiąt rąk wyciągało się z solidarnym „sztachem”, delikwent brał pierwszy z brzegu i drżącymi rękami odpałał, zaciągając się po same wręby rozdygotanej przepony.

Przyszła pora na mnie. Weszłam. Rozejrzałam się ostrożnie. Sala była dużym, bardzo słonecznym, o czterech wysokich oknach pokojem. Aby dostać się na podium sceniczne musiałam przejść obok stołów egzaminatorów. Rozpoznałam znanych mi ze sceny panów: Karbowskiego, Burnatowicza, Fuldego, Mrożewskiego, Kaliszewskiego, i panie: dostojną Zofię Tymowską i śliczną Marię Bogurską. Reszty nie znałam. Jakies czynniki młodzieżowe, ZMP-owskie, partyjne i jeszcze jakies, nigdy mi nie poznane.

Złocistość słońca rozlanego szerokimi smugami, niebieska mgła dymu papierosowego wisząca nad siedzącymi, zapach rozgrzanej upałem zieleni Plant, wiejący przez otwarte okna, przyjazne, serdeczne twarze komisji, i przede wszystkim to klap(!) mojego prawego drewniaka, po raz wtóry wystukane o próg progu – wszystko to sprawiło, że poczułam zadowolenie. Radość. Jakiś szczęście. Odpowiadałam śmiało, pełnym głosem i chyba uśmiechałam się.

Egzamin trwał zaledwie parę minut. Na zakończenie kazano mi powiedzieć:

– W Szczepieszynie chrząszcz brzmi w trzcinie – i było po wszystkim.

Kiedy znalazłam się za drzwiami, pierwszymi słowami jakie powiedziałam, były:

– Dajcie papierosa!

Przy zapalaniu stwierdziłam, że drżą mi ręce. Że drżą mi bardzo. Stanowczo za bardzo. I to też spodobało mi się. Że mój egzamin odbył się według odwiecznego, dyktowanego tradycją rytuału – z trzęsionką, tremą i uniesieniem równym natchnieniu.

Uczciłam go tańcami na prywatce u Zbyszka Domarańczyka, którego rodzice wyjechali już byli na urlop.

Podczas tańczenia czułam po tydkach przyjemne łaskotanie szerokiej spódnicy tej drugiej sukienki, z dwóch maturalnych, niebieskiej „baby”. Wędrowała za mną, owijała się wokół nóg i sprawiała swoją pieszczotą przyjemność nieomal zmysłową. Oczy rudego Andrzeja były jasne, przejrzyste i również szczęśliwe po zdanym egzaminie na politechnikę.

A potem to już było tylko leżenie całymi dniami nad Wisłą przy studzienkach na Salwatorze, wylegiwanie się w wysokich trawach Rudawy, granie w siatkówkę na boiskach stadionu, noce zarwane tańcami i czekanie na nowe, nieznanne życie.

Siedząc w zimnej, parterowej sali szkoły warszawskiej, często wracam pamięcią do tamtych moich słonecznych dni i przestaję być osobą dokonującą wyborów i ocen, a staję się jedną z tych stojących naprzeciw mnie dziewczyn, bo wiem doskonale co przeżywają i co czują. Lubię je. Są takie same, jak my sprzed lat. Płochliwe, stremowane, głupawe i nieśmiałe. Rzadko kiedy zaświeca żrenice rozszerzone narkotykiem, lub odezwiwe się arogancki głos, który z niejednego pieca jadł chleb. Ale te dają się rozpoznać natychmiast.

Lubię ich wszystkich, bo są młodzi, niedoświadczeni i pełni wiary w swoją wartość. A przecież trzeba dokonać wyboru. Z czterystu tylko dwadzieścioro. Czy podołaliśmy? Czy nie popełniliśmy zbyt wielu błędów. Pojęcia nie mam. Na ten temat mam nieustanne wątpliwości, które już nigdy nie wyjaśnią się wobec tych, którzy odpadli. Mamy możliwość sprawdzenia tylko tych, których wybraliśmy i z którymi będziemy pracowali przez następne cztery lata.

Zaczęłam swój lipcowy urlop jak dawniej, jak przed laty, z uczuciem ogromnej ulgi, że cały ciężki sezon już za mną, że czeka mnie leniuchowanie, spanie, spacerowanie, upojne „nic nie musieć”. Sądzę, że ci, którym stawałam pozytywne stopnie, odczuwają podobnie. Pozdrawiam was i życzę udanych wakacji. 1. października spotkamy się ponownie i na inauguracji nowego roku zaśpiewamy wspólnie „Gaudeamus Igitur”.

Nie ma nic pewniejszego, wspanialszego i bardziej stałego niż ta coroczna sztafeta pokoleń. Bezwzględna i punktualna. Każdego roku z niej przede wszystkim czerpię pewność o nieprzemijalności świata.